Nr. 30. We Lwowie dnia 25. lipca 1894. Rok II.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Przy szumie drzew.

Z CYKLU »MIŁOŚĆ«.

(Dokończenie).

Las szumiał,
A ponad jego wierzchołkami słońce,
Dosięgłszy swego zenitu, rozlało
Nagle złocistych blasków całe morze,
Dźwięczące razem ze szumiącym lasem.
Rozgrana jasność, spływając z jaworów,
Buków i klonów, owionęła duszę
Ciepłem promiennej melodji, rozkosznej,
Pobudzającej do jakiegoś życia,
Pełnego żaru i wielkiej radości.
Uczułem naraz, że te krwawe bole,
Co przed minutą gryzły tak straszliwie
Me grzeszne wnętrze, stały się już mitem,
I że nie byłem wygnańcem z Edenu.
Ale dopiero w tej chwili, oczyszczon
Z wszystkich przewinień burzliwej przeszłości
Jakąś nieznaną mi siłą, a jednak
Jakgdyby znaną od dawna, stanąłem
U bramy Raju, który żył dotychczas
Jedynie w moich snach i pożądaniach.
Doznałem naraz uczucia, jak człowiek,
Gdy się pobożnie zbliża do ołtarza,
Na którym Pański mieści się sakrament,
Skryty w misternym tabernaklu. Wokół
Jakiejś świętości drżała atmosfera.
I ducha mego pochwyciła naraz
Wielka tęsknota, ażeby na barkach,
Jak legendowy Oferus, świat jakiś
Przenieść przez morze nieznanych przestrzeni.
I tak, jak człowiek nagle przebudzony,
Ku niej, siedzącej na mchów aksamitnych
Miękkiej pościeli, zwróciłem swe oczy:
Ucieleśnieniem wieszczego natchnienia
Wydała mi się, wsłuchana w ten poszum
Starego boru. Naokoło głowy,
Wzniesionej w górę, lekki wiew przewiewał,
Igrając włosem, rozwianym, by sypkie
Włókna drogiego jedwabiu, błyszczącym
W promieniach słońca połyskami złota
Rozpylonego. W wilgotnym błękicie
Rozwartych źrenic, a wlepionych we mnie,
Jak oczy łani, lśnił łagodny ogień
Elektrycznego światłością płomienia,
Uwięzionego gdzieś na dnie głębokiej,
Niebieskiej, czystej, jako kryształ, wody.
Twarz jej oblewał rumieniec, a usta
Nawpół otwarte, oprawione w koral,
Drżały, by lekko wywinięte płatki
W koronie róży czerwonej. Zaiste!
W takiej postaci zjawiał mi się nieraz
W snach moich anioł przebaczeń, zawstydzon,
Że jemu przyszło spełniać miłosierdzie
Nad grzeszną duszą, którą on ukochał,
Jak równą sobie.... We mgle moich marzeń
Taką stawała przedemną jutrzniana
Miłość, co, chociaż krew zapala w żyłach
I ciało nęci niezwykłą rozkoszą,
Przecież na takie prowadzi wyżyny,
Gdzie duch nasz z wszystkich otrząsa się strzępów,
Z których mu ziemia szyje brudną suknię,
I, jak pokryty wieczystemi śniegi
Wierzchołek góry olbrzymiej, w swej białej,
W swej nieśmiertelnej świeci się nagości,
Czysty, a piękny!... Rytmicznie wzrastało
I opadało jej łono; snać w serca
Świętym przybytku brzmiał organ uczucia,
Nastrojon szumem i szelestem lasu
W jakiś hymn wielki, rozeprzeć pragnący
Nawę kościoła .. Z głębokiem spojrzeniem,
Pełnem wylania i jakiejś słodyczy
Niewysłowionej i jakiegoś ognia,
Zwrócona ku mnie, chciała coś przemówić,
Lecz zanim słowo zdołało wypłynąć
Przez wargi świeże, wpół ją pochwyciwszy —
Nagle, jak człowiek, porwany zachwytem, —

I przycisnąwszy do piersi, złożyłem
Na tych rozkwitłych, na płonących wargach
Pierwszy całunek — ten symbol wiecznego
Dwóch dusz złączenia i dwóch ciał, o losach
Rozstrzygający człowieczych, potężny,
Utraconego przed wiekami Raju
Słoneczne bramy wskroś otwierający
Symbol....

* * *

Klęczałem u jej stóp, na białych
Płatkach, wyrwanych z wiosennej korony
Jakiegoś kwiatu wiotkiego.... Jej ręce,
Jak bluszcz, oplotły drżąco moją szyję,
Usta szeptały rozgrzeszeń wyrazy,
A z jej rozwartych, jasnych ócz spłynęły
Dwie duże krople, by perły, na lica
Zarumienione....

* * *

Powoli, powoli
Rozkołysany las się uspokajał:
Powoli milkła jego pieśń przedwieczna,
Niezrozumiała dla ludzi dzisiejszych,
Ale uchwytna dla duszy poety.
Przebrzmiał już akord ostatni.... Wstaliśmy
I śród storczyków i dzwonków i mleczów,
Pośród stokrotek, jaskrów i srebrników,
Obok róż dzikich, od których szczęśliwszym
Uczuł się duch mój, dotychczas nękany,
Oferusową dziś przejęty żądzą,
Powracaliśmy, weseli, złączeni,
Błogosławiący tej symfonji boru.

Jan Kasprowicz

Wydawnictwo materjałów do historji powstania 1863—1864.

Tom IV. Zeszyty I., II. — Lwów, 1894. (Ciąg dalszy.)

Z tego wszystkiego łatwo wywnioskować że autor »Traugutta« wyraźnie fałszuje dzieje całego powstania. Owi »warchołowie« właśnie byli przedstawicielami organizacji i Rządu Narodowego (Komitetu Centralnego) od samego początku, po głównych inicjatorach, Bolesławie Denelu, Apollu Korzeniowskim i innych, którzy się zbyt wcześnie dostali do niewoli. Wyłącznie oni i ich towarzysze, znani całej Polsce z dziejów powstania, jako to: Stefan Bobrowski, Leon Frankowski, Edward Rolski, Gustaw Wasilewski, Chądzyński (B i a ł y), Juljan Wereszczyński, Edward Lisikiewicz, Jan Karłowicz, Ignacy Maciejowski, Kazimierz Bohdanowicz, Bronisław Deskur, ks. Kotkowski, ks. Drewnowski, ks. Brzoska i wielu innych, którzy polegli w boju z samego początku lub poszli na Sybir; a z wojskowych: Jarosław Dąbrowski, Zygmunt Padlewski, Zygmunt Sierakowski, i jego pomocnicy: Ludwik Zwierzdowski (Topór), Heidenreich (Kruk), dalej Zygmunt Miłkowski, Marcin Borelowski (Lelewel), Józef Jankowski, Zygmunt Chmieliński, Walery Wróblewski, Lewandowski, Kurowski, Marjan Langiewicz, Roman Rogiński, Kazimierz Mielęcki, Ramowski (Wawer), Czachowski, Narbutt i wielu innych — oni to należeli do organizacji przedpowstańczej, tworzyli oddziały, wystąpili natychmiast na pole walki, wszystkiem kierowali, i byli by zupełnie inaczej poprowadzili powstanie, gdyby nie owi »zbawcy« i »wielcy ludzie«, tak chwaleni przez autora, których spotykałem przed 1863 rokiem jedynie w szeregach o p o z y c j i, w a r c h o l s t w a, a n a r c h j i i wrogów ruchu, i których zasługi — Moskwie — teraz ogłosić wypada*).

Właściwie mówiąc, powtórzyło się w 1863 roku to, co się już działo w 1831 r., a przedtem za Kościuszki, co się stało w moich oczach we Francji i gdzieindziej w r. 1848, co się wszędzie i zawsze działo i dziać będzie, póki ludzie istnieć będą. Ludzie »doświadczeni, umiarkowani i bogatsi w zasoby materjalne«, to jest ci, którzy się dobili majątków, albo spodziewali się ich dobić przy pomocy zaborców, nie mieli najmniejszej ochoty zniszczenia porządku rzeczy, tak dla nich korzystnego, a tam bardziej oddania narodowi tego, co zostało od niego skradzionem pod opieką rządów absolutnych. Z drugiej strony ponieważ ogromna większość narodu żądała wypędzenia wrogów, nie mogli wystąpić otwarcie w ich obronie; starali się więc zatamować ruch cały u m i a r k o w a n i e m i p r a c ą l e g a l n ą (przezwaną dzisiaj z łaski Stańczyka organiczną), a jednocześnie korzystać z ruchu i osłabienia Moskwy po wojnie krymskiej, by wytargować od cara jeszcze korzystniejsze dla siebie przywileje, nakształt szlacheckiej konstytucji i temu podobnych ulg.

Ci zaś, którzy nie mieli takich celów, albo chcieli odebrać to, co im skradziono od pierwszego rozbioru, parli do powstania, a ponieważ przy ogromnej nierówności sił trzeba było jak

*) Jeziorańskiego nie pamiętam: chyba w styczniu wstąpił do organizacji.

najwięcej bojowników, dążyli do podniesienia niższych warstw **uwłaszczeniem** chłopów, sprzymierzenia się ze wszystkimi tymi, którzy sobie życzyli obalenia carskiego rządu. Pierwsi byli najczystszymi spadkobiercami Targowiczan i Czartoryjszczyzny listopadowej, drudzy naśladowcami Kościuszki, Belwederczyków i Towarzystwa demokratycznego. Tamtych nazywano **białymi** a tych **czerwonymi**. Biali trzymali z rządami, nie wyłączając carskiego, czerwoni z ludami, nie wyłączając moskiewskiego.

Czytelnik znajdzie w tym samym tomie (zesz. I. Memorjał Milowicza) dość wierny opis tego całego ruchu, i dla tego odsyłam go do tego opisu, osobliwie do str. 28—36. Po manifestacjach 1861 r. i rzezi kwietniowej, wywołanej nieprawdopodobną głupotą Wielopolskiego, praca legalna wzięła w łeb i samo przez się czerwoni wystąpili na pierwszy plan; białych sam margrabia odepchnął i w końcu 1862 r. przymusił ich prawie otwarcie do poddania się czerwonemu kierunkowi.

Takim sposobem powstał ów Komitet Centralny, który został uznany za Rząd Narodowy przez naród cały i ogłosił czysto demokratyczny program, wstępując w ścisłe porozumienie z moskiewską i europejską rewolucją. Walka była tak nierówną, że trudno się było spodziewać stanowczej wygranej; ale rzecz oczywista, że jeźli same carskie siły będą rozdwojone, jeźli cały świat liberalny będzie pomagał, można się było dobić, nawet po klęsce, tego, o co nam szło: **uwłaszczenia chłopów i zniesienia absolutnego, mikołajewskiego systemu**. I tego się powstanie 1863 r. dobiło, pomimo przestępstw tych, którzy się pod nie podszyli, których autor »Traugutta« wychwala pod niebiosa i o których teraz mówić będę.

Wiadomo, że przy końcu 1862 r. Wielopolski zagroził branką, a przy niej proskrypcją wszystkich tych, których policja wskaże, jako biorących udział w manifestacjach i innych przeciwrządowych ruchach. Takim sposobem, ponieważ do manifestacji kościelnych należała cała ludność, osobliwie na prowincji, zagrożeni zostali niewolą nawet ci, którzy nie mieli najmniejszej chęci do powstania i należeli do umiarkowanego, a nawet do białego stronnictwa. Od tej chwili wybuch stał się nieunikniony, i skutkiem niezmordowanych starań organizatorów, głównie Stanisława i Leona Frankowskich, Piotrowskiego i innych, **duchowieństwo i szlachta**, należący przedtem do stronnictwa Andrzeja Zamojskiego, którego Wielopolski wypędził z kraju, uznali władzę Komitetu Centralnego. Czerwoni z największą chęcią przyjmowali wszystkich, którzy się bić chcieli, i jak zobaczymy dalej, wcale nieszczególnie na tej **zgodzie** wyszli, i na pertraktacjach, *quorum pars magna fui*. Wówczas wszedł do Komitetu (tak nazwany zamach październikowy) **Oskar Awejde**, który natychmiast się zwąchał z Wileńskim białym Komitetem (Przybylski, Weryho i Sp.) i jemu poświęcił — jak się później okazało, i jak sam Oskarek Moskalom opisał — mię samego, Białostocką organizację (Wróblewski, Puciata, Frycze, Pluciński, Pisanko, Białokóz i inni; obacz pamiętniki Deskura i zesz. I. str. 178), i naszego komisarza w Wilnie, **Diulorana** (Berg. T. II. str. 374—377). Był to początek reakcji, która się jednak jeszcze jawnie nie pokazywała, tem bardziej że p. Awejde umiał być jednocześnie karmazynowym ze mną i Padlewskim, a bielutkim z Przybylskim, Weryhą i warszawskimi Jurgenszczykami.

Na pozór szło jednak wszystko po dawnemu. Komitet z organizacją trzymał się święcie wytkniętego programu: 1. Uwłaszczenia bezpłatnego włościan i natychmiastowego zniesienia pańszczyzny (tu był właśnie sęk i punkt niezgody z Litwą i Rusią). 2. Wspólnej akcji z Komitetem Petersburskim *Ziemli* i *Woli*, na który wpływ decydujący miał **Zygmunt Sierakowski**, i z którym działał jednomyślnie w Moskwie mój kolega ze szkoły Centralnej, **Hieronim Kieniewicz**, później rozstrzelany w Kazaniu. 3. Ścisłego przymierza z międzynarodową demokracją, Mazzinim, Garibaldim i innymi 4. Czysto federacyjnej zasady z Litwą, Rusią, z zaborami pruskim i austryjackim (Gutry i Kubala). 5. Jak najprędszego powstania, skoro się potrafimy uzbroić, ale nie prędzej jak na wiosnę 1863 r.; gdyby branka miała się wcześniej zdarzyć, była uchwalona **dyslokacja**, to jest rozmieszczenie zagrożonych członków organizacji na prowincji, aż do chwili wybuchu.

Bronisław Szwarce.

Album Muzeum Narodowego w Rapperswylu.

Tom IV. — **KOŚCIUSZKO.** — *Biografja z dokumentów wysnuła przez K. Poprzedzona rzutem oka na dzieje Muzeum Narodowego w Rapperswylu i katalogiem zbiorów kościuszkowskich, w temże Muzeum przechowanych. — Kraków. — Nakładem Muzeum Narodowego w Rapperswylu. 1894.*

III.

Uniwersał Połaniecki niewątpliwie wywarł także wrażenie. Na Żmudzi powstanie staje się ludowem, oddziały włościańskie walczą w imię własnej wolności, i szlachta zakały targowickiej, ażeby przywrócić rozprzężone poddaństwo, w bitwie pod Mejszkucami (w powiecie szawelskim) pomaga wojsku moskiewskiemu.

Kościuszko w liście do Franciszka Sapiehy, datowanym z obozu pod Połańcem 12. maja, uważa, że wystawić 300.000 zbrojnego ludu, zorganizowanego militarnie, lubo nie w wojsko linijowe, powinno przyjść łatwo. Naczelnik narodu

raczej niedoceniał, niż przeceniał. We wrześniu jednak cała siła zbrojna nie wynosiła i połowy tego. P. K. pomimo to powiada: »I dokonano rzeczy, niepodobnej niemal do wiary: wojsko koronne i litewskie zostało doprowadzone do etatu stutysięcznego na obszarze, zajmującym zaledwie połowę tego kraju, jakim władał sejm czteroletni w spokoju i dostatku. Gdy zaś doliczymy luźne oddziały poza kadrami etatu i kupy pospolitego ruszenia, wtedy pokaże się, że Najwyższy Naczelnik stworzył siłę zbrojną 149.000 ludzi, jakiej wielka i kwitnąca Polska nigdy nie oglądała«. (Str. 418). To ostatnie zdanie wydaje się mnie być przesadnem, ale nie o to chodzi. Skoro rząd powstańczy więcej zrobił niż sejm czteroletni, to rozszerzywszy granice kraju — a nie była to rzecz, jak widzieliśmy, niepodobna do wiary — mógł łatwo podwoić tę liczbę. Gdyby nawet w obrębie uszczuplonego kraju okazano więcej stanowczości i sprężystości, to można było siłę zbrojną doprowadzić do liczby przez Kościuszkę wyznaczonej. Województwo krakowskie, podług obliczenia powinno było wystawić 14.000 ludzi zbrojnych, a podobno wystawiło tylko 2.000. Województwo lubelskie, które skąpiło żołnierza dla powstania narodowego, dostawiło wojsku austryjackiemu sporą liczbę rekrutów. Austryjacy nie odwoływali się do uczucia obywatelskiego szlachty, nie prosili jej — jak to czyniły władze powstańcze – ale posyłali rozkaz i stosowną siłę, któraby zmusiła do wykonania onego. Tak należało postępować, i prawdopodobnie obeszłoby się bez surowych, krwawych egzekucji, i szlachta pokornie spełniłaby swoją powinność.

Dyplomacja z rządem austryjackim przynosiła nam drobne korzyści, a wyrządzała wielką szkodę. Dla garści ochotników, którą gubernator Galicji sam radził zabrać, bo mu tylko niepokoju przymnażała — jak się wyrażał; dla setki karabinów, kos i siodeł; dla zboża, za które jednak trzeba było płacić brzęczącą monetą — wystrzegano się wszystkiego, coby mogło świadczyć, że powstanie polskie gotowe jest pójść torem rewolucji francuskiej. Daremnie jednak Ossoliński i Sołtyk wysilali się w Wiedniu na przekonanie rządu cesarskiego, że powstanie polskie nic niema wspólnego z rewolucją francuską, nie wierzono im, ale wierzono Cobenzlowi, który pisał z Petersburga, że koniecznie trzeba działać spólnie z Prusami i Moskwą, »celem pośpiesznego zniszczenia tej nowej insurekcji, podnieconej niewątpliwie przez Jakobinów i wykonywanej zgoła w tym samym duchu, a tem niebezpieczniejszej dla obu dworów cesarskich, że sąsiedztwo i podobieństwo języków czynią zarazę łatwiejszą, aniżeli od strony Francji«.

Dyplomacja ta nieszczęśliwa nie tylko osłabiała w wysokim stopniu rzutkość rewolucyjną, ale odbierając walce charakter śmiały, zaczepny, posuwający się naprzód, zasiewała nieufność we własne siły. Bolał nad tem Kościuszko, ale i sam przyczynił się do tego. W rozkazie do wojska litewskiego, w dniu 30 września w Grodnie wydanym, powiadał on: »Bracia i towarzysze moi! jeżeli dotąd skutki trudów i walk waszych nie odpowiadały zupełnie męstwu i śmiałości ludu wolnego, nie przypisuję ja tego waleczności nieprzyjaciół; mniej jeszcze niedostatkowi odwagi w was samych (bo cóż jest mężniejszego nad wojsko polskie?): ale przypisuję to nieufności w własne swe siły i odwagę, tym to fałszywym i nieszczęsnym o potędze nieprzyjacielskiej wrażeniom, które fatalność jakaś rozsiała wśród hufców waszych«. Nie, nie fatalność to rozsiała, ale było to następstwem tego, że wszelką akcję czynną i stanowczą wstrzymywano i potępiano jako rewolucyjną. Odwołanie Jasińskiego odrazu zmieniło charakter walki na Litwie. Powodem jakoby miało być jego niedoświadczenie. Ale jakaż była korzyść z doświadczonych: Wielhorskiego i Sierakowskiego? Pobłażliwość Kościuszki dla tego ostatniego zdumiewa. »Ponieważ od zniesienia kolumny Derfelda — pisał do Sierakowskiego Najwyższy Naczelnik 9go sierpnia — zależy los Wilna i całej prawie Litwy, zaklinam Cię, generale, na miłość Ojczyzny, abyś jako teraz dosyć mocny, po złączeniu się z Chlewińskim, to uskutecznić starał się«. Sierakowski jednak nie uderzył na Dehrfeldena. Kościuszko nie zaklinać, ale rozkazywać był powinien.

Dziwnym — powiedzielibyśmy nawet — dziwacznym jest krótki szkic polityki emigracyjnej i historji legjonów, skreślony przez autora. Nie rozumie, on czy też nie chce rozumieć tego, że legjony w służbie rewolucji europejskiej nie mogły mieć charakteru wojska najemniczego. I nie wie, co począć z tym faktem, że Kościuszko im sprzyjał i wspierał je wszelkiemi sposobami. Czyżby autor był tego samego zdania, co i historycy szkoły stańczykowskiej, że Polacy najlepiej byliby zrobili, gdyby siedzieli cicho i spokojnie w domu? Nie podzielam także zapatrywania się autora na Księstwo Warszawskie i wolę pójść za zdaniem spółczesnych dwóch wielkich patrjotów, jakimi niewątpliwie byli Hugo Kołłątaj i Stanisław Staszic.

Dzieło p. K. jest zanadto przepełnione drobnemi szczegółami, często nawet niemającemi związku z Kościuszką, ale nie daje plastycznego obrazu jego osobistości i jego dziejowego znaczenia. Jest ono raczej krytycznie opracowanym zbiorem materjałów do życiorysu Kościuszki, aniżeli właściwym życiorysem. Możnaby życzyć, ażeby ten sam autor, na podstawie tego nader cennego materjału, opowiedział nam życie i czyny Kościuszki na mniejszej ilości stronic, ale z większem uwydatnieniem ogólnego nastroju wszystkich warstw społecznych narodu, walki ścierających się stronnictw i roli wybitniejszych osobistości, udział których dodatnio lub ujemnie zaznaczył się w czynnościach Naczelnika narodu.

B. L.

ZWALCZENI.

Dramat historyczny w trzech aktach.

Napisała

Helena Ceysinger.

(Ciąg dalszy.)

ZOFJA. Posłuchajcie, opowiem wam powieść z dawnych lat. W domu pewnego kupca ze Spletu chował się chłopiec dziesięcioletni, sierota. Dziecko kochało namiętnie swojego opiekuna i byłoby życie oddało za niego. Pewnego dnia kupiec został oskarżony o knowanie spisku przeciwko wam. Uwięziony, przyznał się do winy, ale mimo katuszy, imion wspólników zdradzić nie chciał. Zabrano chłopca — mógł widzieć, kto wchodził i wychodził z domu, mógł słyszeć nie jedno. Bito dziecko i dręczono, ale ono, nauczone zawczasu, na wszystkie pytania odpowiadało: »nie wiem«. Kupca skazano na śmierć w płomieniach. Skazany stał już na stosie, ogień już podkładano, gdy sędzia zbliżył się do dziecka i powiedział uroczyście: »Przysięgam, że jeżeli wskażesz tych, co należeli do spisku, winowajcy darowane będzie życie. Chłopiec się zawahał. Drżący podniósł oczy do góry i spotkał natchniony, błagalny wzrok męczennika i znów to jedno słowo: »nie wiem« wybiegło mu na usta, a w parę chwil później posępna tajemnica w kłębach czarnego dymu uleciała.... Tem dzieckiem był mój ojciec. Czy jeszcze chcecie, żebym go namawiała do zdrady dla ocalenia mnie?! A ja wam mówię, że on nas urodził na to, żebyście wy pastwę mieli z naszych ciał, a dusze żeby wolne pozostały dla ojczyzny!

DOŻA. Choć tak pewną jesteś moje dziecko, że prośba twoja serca ojcowskiego nie wzruszy, nic nie przeszkadza ci jednak przychylić się do naszego żądania.

ZOFJA. Ja — uledz wam! Ja — zhańbić się przed wami! (odrzuca w tył głowę i ruchem tym włosy jej rozsypują się na plecy).

MARCO (do Leonarda). Fala złota opłynęła ją. Cudowna!

BIANCA (chwytając ją za rękę). Czyś słyszała o weneckich torturach? Wyjdziesz połamaną, kaleką, albo wyjdziesz bez życia! O! męki żałować ci nie będą! Ja ci zaręczam!

LEONARDO (cicho do Bianki). Opamiętaj się, co ci po tem?

DOŻA. To, co było żartem, wobec twego oporu stanie się rzeczywistością. Nie doprowadzaj nas i siebie do tego.

ZOFJA (do Bianki, spokojnie). Pani, ty boisz się śmierci, ja nie. (Do wszystkich). Ciemięzcy mojej ojczyzny! W posępnych snach mego dzieciństwa jam stała tak przed wami, a gdym się obudziła twarz miałam łzami zalaną! Wierzcie, lub nie, alem ja płakała, że to był tylko sen! Dzieciństwa mego marzenia się spełnią! Stoczym z wami śmiertelny bój.... a ty chcesz, żebym ja bunt tłumiła! Niech go krew moja podleje!

DOŻA. Uspokój się i nie gardź życzliwością moją. Wiesz sama, że zwyciężyć nie możecie. Wojewoda nierozwagą swoją ściąga zgubę na swój kraj, a na siebie — przykro mi to powiedzieć w twej obecności — szubienicę, na którą oddawna zasłużył. Jeżeli przeszkodzisz daremnemu rozlewowi krwi, za zasługę policzone ci to będzie. Czy chcesz, abym zdziesiątkował powstańcze gromady, a resztę wcielił w szeregi weneckie? Dziewczyno, prędzej czy później z mowy i imienia słowiańskiego ślad nie pozostanie wśród waszych skał!

ZOFJA. Nie kracz mi o śmierci ojczyzny mojej! Nie zginęła! Żyje! Jak ja zrzucam wasze powrozy (rozrywa sznury), tak ona zerwie więzy i stanie wolna.... i stanie zwycięzka... i zemsty poszuka! A teraz bierzcie mnie na tortury! Lejcie krew moją! Katy, gardzę wami! Otom gotowa, czego czekacie?

LEONARDO (do Marca). Diavolo! Ta Słowianka jasnowłosa więcej ma ognia, niż najpłomienistsze córy Wenecji! Miałeś słuszność, ona piękna, od Bianki piękniejsza!

DOŻA (po chwili milczenia). Ze słowami pogardy ostrożnie, piękne dziecko! Zwycięztwo... zemsta! Marzysz! Naród, który ani przywiązania ojczyzny, ani miłości sławy, ani poszanowania związków rodzinnych, ani nawet własnego interesu nie żywi... naród, gdzie zdradę spotyka się na każdym kroku, gdzie przywódzcy dla jakiejś miłostki porzucają sprawę zaczętą, naród taki — pojmujesz sama — żyć nie będzie, niema praw do życia! (po chwili) Widzę, że nie rozumiesz mnie jeszcze. Przed godziną brat twój zawarł z nami układ, w którym obowiązuje się połączyć swoje wojska z naszymi i uderzyć na wojewodę.

ZOFJA (cofając się) Ach! (po chwili postępując naprzód) To nieprawda! Ty kłamiesz! Tyś nikczemny!

(Doża usuwa się).

BIANCA (podając Zofji traktat). Ręką jego podpisany przed chwilą.

ZOFJA (postępując ku niej dziko). Tyś go skusiła!

(Leonardo podbiega ku Biance, by ją zasłonić. Bianca usuwa go i staje przed Zofją).

BIANCA (patrząc jej w oczy szydersko). Jednym pocałunkiem!

(Zofja spuszcza oczy i opiera się o stół rękami).

DOŻA. Dość już tego! Raz ostatni przemawiam do twego rozsądku. Jeżeli nie spełnisz tego, czego żądam, pójdziesz na tortury, a jeślibyś się i tam oparła, żywa nie wyjdziesz, to ci doża rzeczypospolitej przysięga. Podpisz, ocalisz ojca i brata!

MARCO (podając jej pióro). Napisz pani! Niech już mowy o tem nie będzie?

(Zofja milczy).

DOŻA (chwytając ją za rękę). Napisz-że raz.

ZOFJA (budząc się z zamyślenia). Prowadźcie mnie na tortury!

DOŻA. Ha, to tak?! Nieugiętaś?! (Klaszcze w ręce, ukazuje się Murzyn). Perini niech wejdzie! (Wchodzi dowódca straży więziennej i staje przy drzwiach). Weźmiesz tę kobietę i odprowadzisz do lochu. Każ, żeby mistrz miał wszystko gotowe, jutro ją weźmie na tortury. Badać będę ją sam!

(Perini daje znak, dwóch pachołków wchodzi, niosąc kajdany, Zofja zbliża się ku niemu i podaje mu obie ręce. Perini nakłada jej kajdany i wyprowadza).

Koniec aktu drugiego.

AKT III.

Miejscowość skalista, z jednej strony widok otwarty na zatokę morską, z drugiej piętrzą się góry porosłe lasem na szczytach. Z boku wąwóz, którego dnem płynie mały strumień. Obozowisko weneckie. Na środku namiot, w namiocie, przy stole, założonym papierami, Morosini, Andrzej i Georgio Monegario.

SCENA I. Morosini, Andrzej, Giorgio.

MOROSINI. Mości książę, wszak tu mieliście się połączyć z Wojewodą?

ANDRZEJ. Tak, o brzasku dnia miały się zejść nasze wojska.

MOROSINI (zamyślony). Tak tedy Wojewoda w myśl dawnego planu się tu zbliża. To dobrze, byłem już w niejakiej obawie, czy który z ludzi waszych nie zdołał zbiedz do swoich. Wedle doniesień szpiegów najdalej za dwie godziny Wojewoda będzie tu ze swymi. (Wstając) Przedstawiam wam mój plan, panowie. Bez hałasu wycofamy się ztąd natychmiast. Dzień cały przeleżeliśmy spokojnie w wąwozach za Kralewicą — Antonio nas poprowadzi, to człowiek dla nas nieoceniony — a nocą spadniemy niespodzianie na obóz buntowników.

ANDRZEJ (zmięszany). Jakto, panie kapitanie? Nie rozumiem. Dlaczego nie mamy tutaj czekać spokojnie przybycia Wojewody?

MOROSINI. Bo w tej pozycji ja nie mam ochoty przyjmować bitwy z góralami, a przytem korzyść niespodzianki chciałbym koniecznie zostawić dla siebie.

ANDRZEJ. Układy...

MOROSINI (przerywając). A jeżeli Wojewoda zgodę odrzuci, co sam książę przypuszczasz?

ANDRZEJ (żywo). Nie sprobowawszy nawet rokowań pokojowych, ja do bitwy dopuścić nie mogę.

MOROSINI (szyderczo). A, książę nie dopuści! Książę nie pozwoli!

ANDRZEJ. Panie kapitanie, ten ton...

GEORGIO (przerywając). Nie zapomnij Andreo, że trzy czwarte twoich ludzi wypowiedziało ci posłuszeństwo i że wojewoda choćby chciał połączyć się z nami, może dzięki fanatyzmowi twoich rodaków znaleźć się w tem samem, co ty położeniu.

C. d. n.

MŁODE LOTY.

Poezje p. Kazimierza Tetmajera. — Serja II. — Kraków. 1894.

Pan Kazimierz Tetmajer należy do najsympatyczniejszych przedstawicieli młodej polskiej poezji. Ma wielką wrodzoną wytworność formy, która się przejawia w samorodnej rytmiczności wiersza, rzadko dociąganego sztucznie do miary i rymu. Jest w motywach swych bardzo charakterystyczny, mniej od wielu rozwlekły, jak się zdaje szczery i nie tak kunsztownie-enigmatyczny, jak n. p. pan Zenon Przesmycki.

Dotychczas wydał p. K. T. dwie serje utworów — druga, prócz ulubionych przez poetę liryk, zawiera jeszcze grany z powodzeniem na scenie krakowskiej obrazek »Sfinks«.

Trudno jest »streszczać« poezje — więc możemy tylko nieco dogmatycznie wymienić zasadnicze motywa twórczości p. Tetmajera. Sam on mówi o sobie: »Melancholja, tęsknota, smutek, zniechęcenie są treścią mojej duszy«. Skarży się znowu

»Żem tyle pragnął na ziemi daremnie,
Że ile razy ręce wyciągnąłem
Wszystko mi zawsze było za daleko...«

Liczne są bardzo strapienia, nawiedzające duszę poety, a wszystkie znane nam od czasu naiwnych trochę, lecz szczerych smutków romantyzmu:

Wszystko jest marne, podłe, złe i wstrętne,
Niema na świecie nic, nic coby było
Cokolwiek warte! Świat jest błota bryłą
Rzuconą w wody nieprz-jrzanie mętne.

I to go jeszcze trapi:

O czuję to! Kiedyś czyja ręka może
Podejmie Ciebie z cmentarnej gdzieś ziemi —
Będziesz tak cichą i nikt nie odgadnie,
Jakie świeciły w tobie natchnień zorze....

Nie można powiedzieć, żeby ta tu przytoczona refleksja, lub wiele innych rozmaitych, w »preludjach« uderzały szczególnym polotem,

głębią lub nowością. Są to więcej wszech-wiersze zdawkowe, reminiscencje ludzkiego pessymizmu. Kto ma do niego skłonność w charakterze lub nastroju, ten musi prędzej czy później dań spłacić. Pessymizm — koncepcja najjałowsza dzisiaj — ma jeszcze i to, że będąc tak wszechstronnie ograną struną ducha ludzkiego, wymaga szczególniejszej mocy twórczej, żeby zostać zapłodnioną. Inaczej — będą to nieodmiennie powtarzające się w tych samych niemal wyrazach czcze wyrzekania, przekleństwa, w otchłań rzucane i t. d. Jak Konopnicka, woła p. Tetmajer »Smutno mi Boże!« i kwili na ten temat. Z retorycznym rozmachem czyni wstręty Panu Bogu (w którego zresztą nie wierzy). Popełnia też czasem naiwne błędy, jak np. gdy mówi:

Z mej duszy strasznie, n i e l u d z k o zbolałej
Przez wszystkie n i e m a l doświadczonej próby....

Jakież to »niemal«, filisterskie i ostrożne, jest śmiesznem w obec »nieludzkich« aż cierpień autora! Czy może przyczyny tego rożdźwięku i smutku są jakieś szczegolnie dla nas, dla obecnego pokolenia wymowne? Zdaje się że nie. Raz — pisze p. Tetmajer —

....ją ujrzałem w osłonie białej
Z twarzą anioła.

Była to zapewne Poezja, Piękno czy Ideał.
Otóż — mówi dalej —

Poszedłem za nią — a ona wzięła
Oskard w swe dłonie
I otchłań za mną kopać zaczęła.....
Po jednej stronie
Ludzie, wspólności myślą związani,
Są jednem ciałem —
Po drugiej stronie owej otchłani
Ja sam zostałem.

Został p. Tetmajer sam i śladem wielu zachorował na ostre poczucie swego »Ja«, na przeczulenie miłości własnej, na egotyzm drobnostkowy. Odtąd nie umie się uwolnić od tej ostrej goryczki, którą sobie wszystko zatruwa. Ach — nawet nad Morskiem Okiem zapomnieć o sobie nie umie, lecz kala piękny obraz potężnej przyrody przyrównaniem go do swej duszy, która »niemal« wszystkie bóle poznała — targ wiedzie z ciemną powierzchnią Morskiego Oka o to, gdzie więcej piorunów uderzało — czy w tę powierzchnię, czy w jego duszę...

Dłużej zatrzymaliśmy się nad tym tonem smutku autora, bo i sam on o tem wspomina i jest to rys istotnie charakterystyczny dla młodych — i sam smutek, i jego źródła — czy przynajmniej dopływy maluczko-egotyczne.

Lecz wyliczając cechy, stanowiące treść duszy swojej, zapomniał p. Tetmajer o jednej, najbardziej może dla siebie charakterystycznej. Tą jest już nie ów smutek, retoryczny często, lecz niezmiernie subtelne uchwycenie bezprzedmiotowych tęsknot jakichś, jakichś wpół-uświadomionych drgnięć duszy ludzkiej. A wszystko to owiane mistycznym tumanem, pełne upajających, fosforycznych blasków wnętliwe, jak halucynacje.

Po jakiejś drodze tajemnych zachwytów
Dążeń tajemnych, tęsknot nieokreślnych
Myśl moja leci....
I jakieś widzę, jakby w mgłach pamięci
Zgubione światła, podobne do sennych
Gwiazd, co mdlejące majaczą w przezroczu
W czas zadumanych wieczorów jesiennych.

Ku gwiazdom tym goni natchnienie poety:

Jest dal nieznana w umyśle człowieka,
Ale granice ma uświadomienie —
I z pod harpunu pojęcia ucieka
Niejedno próżno chwytane wrażenie.

O takich też ruchach tajemnych i nieuchwytnych mówi gdzieś Konopnicka, że można o nich tylko

W słowach stłumionych i półchowanych
Z n a j b l i ż s z y m i prowadzić d a l e k i e rozmowy.

Takie też rozmowy, nastrojem jedynie, lub pojęciami wymowne, prowadzi Tetmajer ze swymi słuchaczami. — Piękne są jego wizje, sny, halucynacje i pół-obłędne majaczenia, któremi zaczarowuje czytelnika i wprowadza go w tajemny krąg własnych marzeń. W marzeniach owych smutek retoryczny już się nie rzuca, nie przeklina, lecz przeistacza się naprawdę w jakąś rozwiej bezkreśnych tęsknień i duszą całkiem owłada. Są to najszczersze i najpiękniejsze karty naszej młodej poezji. Tą stroną — która i w »Sfinksie« uderza najbardziej — zbliża się znowu p. Tetmajer niezmiernie do poetów belgijskich, do Maeterlinck'a przedewszystkiem. W »Sfinksie« np. niezmiernie charakterystycznym jest ujęcie tematu »bête humaine« nie przez barwę i realizm, lecz przez ów kokietecyjny ton mistycznych przeczuć i strachów, którymi Maeterlinck naturę i duszę chce związać w jedną całość. Trzeba mieć na stole obok siebie Maeterlincka i »Sfinksa«, żeby zrozumieć jak dalece są te rzeczy jednakie — bez ujmy zresztą dla p. Tetmajera.

A to czy nie mogłoby kwitnąć w »Cieplarniach« Maeterlincka:

Nirwano! Pochyl ku mnie twarz martwo-bladą
Ściągłą, z blademi usty i czołem z marmuru,
Kędy się zamyślenia nieskończone kładą,
Jak mgławice na morzu chłodnego lazuru
Zwróć na mnie oczy twoje, błękitnych wód tonie,
Głębokie, nieruchome, z pod przymgleń świetliste,
Jak miesiąc, co za mgłami przezroczemi płonie,
Przetajając w nich światło niebiesko-srebrzyste.
Z spływającą ku ziemi jak srebrzysta rzeka
Falą włosów co lniane są, matowo płowe,
Podobne z woni kwiatom, co zwolna człowieka
Odurzają i duszą: pochyl ku mnie głowę.

Wyciągnij ku mnie dłonie, gdzie mdlejące tuje
I zwiędłe tkwią narcyzy i zbladłe lilije,
Których zapach powietrze przesyca i truje,
I zkąd oddech omdlałość letargiczną pije....

Tymczasem jednak p. Tetmajer pija »letargiczną omdlałość« z innego źródła. Pokosztowawszy nieco z niego, poznamy zarazem trzeci charakterystyczny rys poety – rys różniący go mocno od swojskich »przeduchowionych« poetów, a zwłaszcza poetek. Jest nim niezwykłej miary zmysłowość. W ogóle o wierszach p. Tetmajera powiedzieć można, że te z nich, które działają najsilniej, działają jakąś szczególniejszą ekspresją zmysłów — szelestem swym, barwą, rytmem, zapachem. Że jednak trudno byłoby zdać sobie z tego sprawę w krótkich cytatach, wybieram najbrutalniejszą, ale i najwymowniejszą stronę tej zmysłowości — lubieżność.

P. Tetmajer lubi takie jak Leda tematy — co prawda nie jest to ani Leda Tycjana, ani Mackartowska nałożnica — tylko Leda-.. Michała Anioła. Dalej lubi Wenus Kallipiges:

A ona (Wenus) w słońcu swe nurzyła ciało białe,
Zefiry pieszczą ją z rozkoszy oszalałe,
Ślizgają się od stóp po nogach jej do łona,
Całują piersi jej i szyję i ramiona —
W rozkosznych kładą się zagięciach i lubieżne
W lotny okrążą tan jej udo smukłe, śnieżne,
Zwolna się suną wzdłuż jej pełnych biódr, a potem
Ku ustom z wonią róż wzlatują nagłym wzlotem...

I czy to będą »Narodziny wiosny«, »Ona« czy »Nieznajoma«, zawsze rzeczy kończą się »lubieżnie«. Czasem zaś, rzuciwszy boską Afrodytę i myty olimpijskie, poeta zwierza się, co lubi w kobiecie:

Lubię, kiedy kobieta omdlewa w objęciu,
Kiedy w lubieżnem zwija przez ramię przegięciu,
Gdy jej oczy zachodzą mgłą, twarz cała blednie,
I wargi się wilgotne rozchylą bezwiednie.

Można powiedzieć, że »motyw« lubieżności odczuwa poeta z epileptyczną siłą — jest sam, jak ów okropny Artur ze »Sfinksa«. Jak ów Artur, który będąc niemym, niewidomym i głuchym, zakochał się samem tylko dotykaniem i powonieniem — są to prawdziwie ataki pierwotnej erotyczności. Po nich przychodzą znowu chwile kiedy:

Myśl moja już od dziś wybiega skrzydlata
W nieskończone przestrzenie nieziemskiego świata.

Ale też myśl owa po ataku bywa nieraz bardzo smutna i lot ma ociężały.... Powtarzam jednak, że nie tylko w tym kierunku, lecz owszem wszechstronnie rozwiniętą jest nadczułość zmysłów autora.

Należałoby teraz postawić jakąś kropkę nad charakterystyką p. Tetmajera. Trzy struny tylko poruszyłem na tej młodej lutni — czy w nich jest cały poeta? Dla ścisłości trzeba się zastrzedz, że w zbiorku dużo jeszcze półtonów i odcieni. Ale ani o nich mówić, ani kropki stawiać nad tem, com powiedział, nie zdołam. Wychyla się ku nam z pustkowia artystycznego twarz charakterystyczna, ciekawa, wymowna — słuchajmyż jej mowy dalszej.

Antoni Polocki.

Przegląd pism.

Ateneum — Lipiec. 1894.

Nader bogaty pod względem ilości i różnorodności artykułów lipcowy zeszyt »Ateneum« rozpoczyna artykuł S. Karpowicza, napisany z powodu ostatniego obrazu Podkowińskiego p. t. »Szał«, jak wiadomo, zniszczonego przez samego autora. P. K. wypowiada szereg myśli o istotnem zadaniu sztuki, które streścić się dają w słowach autora: »pomijając technikę, jedyną miarę wartości i piękna obrazu, jest zawarta w nim wzniosłość myśli i głębokość odpowiadającego jej uczucia«.

Dr. Nussbaum pisze o »pasorzytnictwie i współżyciu w przyrodzie w świetle nowych poglądów«.

Listy czeskie dra Gablera, jak to już zaznaczyliśmy w jednym z poprzednich przeglądów, są wyrazem zapatrywań stronnictwa staroczeskiego na sprawy swego kraju, a list lipcowy jest specjalnie poświęcony krytyce polityki młodoczechów.

Artykuł p. Srokowskiego »O palafitach« zawiera ciekawe wiadomości o tych, tak nazwanych, budowlach palowych (nawodnych), odkrytych poraz pierwszy w Europie w jeziorze zurychskiem w r. 1854. U nas odkrył ślady tychże budowli palowych prof. Łepkowski w r. 1865 na jeziorze Czeczewskiem w Wielkopolsce (pow. Wągrowiecki). Później znaleziono je na Pomorzu, a także w Elblągu i kilku innych punktach koło Brodnicy, Torunia i Chełmna, oraz w Lubelskiem. Badaniom archeologów udało się w części odtworzyć całą kulturę, która, przez długie wieki kwitnąc, zasłużyła sobie na osobne miano kultury mieszkań palowych.

Pięknie opracowany artykuł panny Joteyko »O zasadach psychoterapji« zawiera oprócz krótkiego wykładu teorji psychoterapji wiele interesujących przykładów leczenia za pomocą hypnotyzmu i suggestji.

Współpracownik »Tygodnia« p. Wasilewski w artykule p. t. »Dosyteusz Obradović« dał szkic z literatury serbskiej w XVIII. stuleciu.

Dr. Stebelski w artykule »O sądach przysięgłych w Galicji« pragnął dać ilustracje stosunków istniejących w Galicji w dziedzinie wymiaru sprawiedliwości w sądach karnych.

Artykuł »Socjalizm i zoologia« napisany jest z powodu dzieła Zieglera »Die Naturwiessenschaft und die Socialdemokratische Theorie« zawierającego krytykę twierdzeń teoretyków socjalizmu: Marksa, Morgana, Engelsa i Bebla.

Dr. Trepka stale zasilający »Atheneum« studjami z dziedziny stosunków społecznych w Anglji, w omawianym zeszycie pisze o ewolucji społecznej w tym kraju.

Z beletrystyki znajdujemy w lipcowym zeszycie szkic p. t. »Dżali« i nowelę »Z pod popiołów«; z poezji przekład »Godivy« Tennysona przez J. Kasprowicza, znany czytelnikom naszego pisma.

P.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.